

ARTYKUŁY RECENZYJNE I RECENZJE

Halina Parafianowicz

Białystok

Czy Ameryka była, a może przestała być wyjątkowa? Kilka słów o amerykańskiej wyjątkowości

Recenzowana praca, *The Myth of American Exceptionalism*¹, spotkała się ze sporym zainteresowaniem i uznaniem nie tylko specjalistów, ale i szerokich kręgów anglojęzycznej opinii publicznej. Jej autorem jest brytyjski dziennikarz i historyk, absolwent Oxfordu i University of Pennsylvania, który w swoim dorobku ma około tuzina prac na temat historii Stanów Zjednoczonych. Pisał m.in. o rekonstrukcji amerykańskiego Południa po wojnie secesyjnej. Jest również autorem kilku biografii, m.in. płk. Edwarda M. House'a, bliskiego współpracownika i zaufanego Woodrow Wilsona, Henry'ego L. Stimsona, sekretarza stanu w latach prezydentury Herberta C. Hoovera, oraz senatora Daniela Patricka Moynihana, także Martina Luthera Kinga.

W burzliwych latach 60. Hodgson spędził sporo czasu w USA jako dziennikarz „The Observer” i „The Sunday Times”. Mieszkał dłużej w Waszyngtonie, przypatrując się na miejscu ówczesnym wydarzeniom i amerykańskiej polityce. Nie bez znaczenia był fakt, że nawiązał tam również dobre kontakty z miejscowym światem dziennikarskim, m.in. z „Washington Post”. Z amerykańskiej stolicy obserwował uważnie poczynania administracji Johna F. Kennedy'ego i Lyndona B. Johnsona. Polityką tego ostatniego wobec ludności czarnej walczącej o prawa obywatelskie i jego planami tzw. Great Society — co zwykł podkreślać — szczerze się interesował i życzliwie je komentował. Podobnie jak większość Amerykanów sympatyzował, a nawet identyfikował się z ambitnymi założeniami Johnsona w sprawach społecznych i rasowych. I choć sam był bliższy liberałom i demokratom, wykazywał potem wiele życzliwego zainteresowania prezydenturą i polityką Ronalda Reagana, także George'a Busha.

Godfrey Hodgson poznawał Stany Zjednoczone nie tylko z fachowych lektur, ale też z autopsji, przemierzając je wzdłuż i wszerz. W trakcie czterdziestu lat odwiedzał ten bliski

¹ Godfrey Hodgson, *The Myth of American Exceptionalism*, New Haven–London 2009, Yale University Press, ss. 221.

mu kraj po kilka razy w roku, czasem mieszkając tam dłużej. Przebywał w wielu miejscach i miastach, wykladał na amerykańskich uniwersytetach, m.in. Berkeley i Harvardzie. Gościł też często z wykładami w innych ośrodkach uniwersyteckich, udzielał licznych wywiadów, przygotowywał programy telewizyjne i brał w nich udział, etc. Odwiedził prawie wszystkie stany (z wyjątkiem Alaski i Dakoty Północnej), a więc łącznie 48 z 50. Jak zwykł podkreślać, należał do powojennej generacji Europejczyków zafascynowanych Stanami Zjednoczonymi, które uważano „za wybawców”. Dopiero z czasem stawał się bardziej krytyczny wobec za-oceanicznej republiki, a zwłaszcza współczesnej amerykańskiej rzeczywistości.

We wstępie Hodgson wyjaśnił powody napisania tej książki, która — co już sugeruje tytuł — zajmuje się mitem o amerykańskiej wyjątkowości. Autor więc podjął w ten sposób polemikę z ugruntowanymi wyobrażeniami wielu Amerykanów, także jego dobrych znajomych i przyjaciół, o samych sobie, unikalności amerykańskiej historii, misji politycznej Stanów Zjednoczonych w świecie etc. Ich wiara w wielkość i powołanie własnego narodu została poddana kolejnym próbom i coraz częściej była przez Hodgsona kwestionowana. W gruncie rzeczy od lat 70. był on coraz bardziej rozczarowany polityką amerykańską, a w szczególności raziła go retoryka kolejnych mieszkańców Białego Domu. Zaczęło go „uwierać” także bezkrytyczne przekonanie Amerykanów o narodowej wyższości, szczególnym rodzaju patriotyzmu i wyjątkowości ich historii etc. Zaczął więc, jak pisze, patrzeć nie tylko na przeszłość, ale zwłaszcza współczesność Ameryki przez „bardziej krytyczne okulary”. W następstwie wzrastał się krytycyzm Hodgsona wobec amerykańskiej historii i przeświadczenia o jej wyjątkowości. I tak się zrodził pomysł podjęcia tej tematyki, która — jak pokazuje badacz — od zarania amerykańskiej historii została w dużej mierze zmitologizowana. Przeświadczenie o wyjątkowości USA okazało się raczej „wybiórczą, czysto deskrypcyjną zaletą”. Przekonanie Amerykanów o specjalnej misji Stanów Zjednoczonych w świecie nie zawsze dobrze służyło im samym, ani też światu. Jak stwierdza Autor: „Kreowanie takiego mitu, który wydaje się uzasadniać dominację, czy wręcz jej się domagać, nawet jeśli to dotyczy mocarstwa, jest niebezpieczne, zarówno dla niego samego, jak i innych” (s. xvi–xvii).

W sześciu rozdziałach Hodgson podejmuje różne aspekty amerykańskiej wyjątkowości, a więc ideę „miasta na wzgórzu”, mit o narodzinach narodu, pojęcie misji cywilizacyjnej, przekonanie o wyższości i konieczności zaszczerpienia wzorców i ideałów demokracji, „American dream” etc. W gruncie rzeczy, jak twierdzi Autor i trudno mu w wielu kwestiach odmówić racji, od początku mamy do czynienia z mitologizacją pojęć podstawowych związanych zarówno z amerykańską przeszłością, ideałami, demokracją, jak też polityką zagraniczną. Robili to, nierzadko z głębokim przekonaniem, purytanie, „ojcowie założyciele” i twórcy Konstytucji, jak i kolejni prezydenci, elity polityczne i zwykli Amerykanie.

Warto przypomnieć, że w powszechnej świadomości Amerykanów i elit politycznych zakorzeniona jest koncepcja kraju i narodu „wybranego przez Opatrzność”. Wielu z nich wciąż przywołuje cytaty z wypowiedzi Johna Winthropa z 1630 r. Często też do niej nawiązywali późniejsi prezydenci, a niektórzy czynią to dziś. Szczególnie chętnie do podobnej retoryki sięgał Ronald Reagan. A przecież Winthrop był Anglikiem, a nie Amerykaninem (nie było jeszcze ani narodu, ani państwa amerykańskiego), a więc trudno mu przypisywać przeświadczenie o wyjątkowości Ameryki (s. 1–2). Podobnie też — jak argumentuje Hodgson — nie ma uzasadnienia, by powoływać się na purytanów czy bohaterów wojny o niepodległość jako „wyjątkowe amerykańskie doświadczenie”, mieli oni bowiem europejskie korzenie, a wolność i sprawiedliwość (i walka o nie) bynajmniej nie należała tylko do amerykańskiego systemu wartości. Europa, a ściślej Anglia, a z czasem też inne kraje „Starego Kontynentu” były punktem odniesienia i to z nimi porównywano potem Stany Zjednoczone.

W różnych okresach amerykańskiej historii Amerykanie, akcentując własną odmienność, wierzyli, bądź chcieli wierzyć, że Stany Zjednoczone nie są jednym z wielu krajów, ale właśnie tym wyjątkowym, który został naznaczony przez Boga (palec Opatrzności) i jako kraj wybrany był predestynowany do odegrania specjalnej roli, wręcz misji cywilizacyjnej w świecie. I jakoś tak paradoksalnie większość Amerykanów nie widziała sprzeczności z bynajmniej nie idyllicznymi realiami tej misji, a więc kolonizacją Zachodu i brutalnym rozprawieniem się z kolejnymi plemionami indiańskimi. Także niewolnictwo przez kilka wieków praktykowane w Ameryce czy nieludzkie warunki życia i pracy licznych rzesz imigrantów szukających tam „ziemi obiecanej” nie zburzyło wyobrażenia o amerykańskim systemie gospodarczo-politycznym. Te, jakże niewygodne dla tezy o amerykańskiej wyjątkowości, realia i oczywiste fakty umiejętnie, i można by rzec zgodnie, pomijano czy może wstydliwie przemilczano². Nierzadko też szukano moralnych i wzniosłych uzasadnień dla teży polityki. Świadczy o tym m.in. *Manifest Destiny* i przekonanie, że postępująca ekspansja terytorialna w głąb kontynentu jest... misją chrystianizacyjną i cywilizacyjną (s. 38–40, 64–65).

Podkreślanie wyjątkowej amerykańskiej historii i specjalnego przeznaczenia republiki zaoceanicznej rozwinie się w kolejnych dekadach XIX w., zdobywając coraz więcej sympatyków, zwolenników, a nawet można powiedzieć wyznawców. Amerykanie tworzyli więc, ich zdaniem, najlepszy system, najdoskonalszą demokrację, zapewnili powszechny dobrobyt dla swoich obywateli, a z czasem też dla milionów imigrantów szukających tam lepszego życia. Postępująca ekspansja na Zachód znajdzie „uzasadnienie” w *Manifest Destiny*, a teoria Fredericka Jacksona Turnera na kilka dekad zdominuje amerykańską historiografię, propagując mityczny ideał człowieka pogranicza. Zdaniem Hodgsona, teza o amerykańskiej wyjątkowości (polegającej głównie na odmienności samej rewolucji, systemu politycznego i Konstytucji) najbardziej pasuje do okresu wczesnej republiki, a więc od niepodległości do wojny secesyjnej. Amerykanie w stosunkowo dużej liczbie korzystali wówczas z praw obywatelskich, także wyborczych. Znacznie łatwiej niż gdzie indziej i tanio mogli nabyć ziemię. Młoda republika szybko i dynamicznie się rozwijała, dając dużej grupie prawa wyborcze i majątkowe, a także stwarzając ekonomiczne możliwości dla przybyszów (to wyraźne odmienności względem państw europejskich, powiązań dynastycznych, rodów arystokratycznych etc., s. 37–40, 64). Ale też w innym miejscu Autor zauważa, że skutecznie ograniczono prawa imigrantom, Murzynom (długo przecież niewolnikom), różnym grupom etnicznym czy kobietom. W tej ostatniej kwestii USA wyprzedziły m.in. Nowa Zelandia, Australia, Finlandia, Norwegia czy Dania, dopiero bowiem po I wojnie światowej, a ściślej w 1920 r., Amerykanki, podobnie jak wiele kobiet w krajach europejskich, otrzymały prawa wyborcze.

Przeświadczenie o bogactwie i nieograniczonych możliwościach zagospodarowywania bezkresnych terytoriów oraz szansach sukcesu i karier, także dla emigrantów, rozpowszechni z końcem XIX w. opinie o wyjątkowym kraju, gdzie wszyscy żyją w dostatku, to co David Potter nazwał „People of Plenty”. Z czasem ugruntuje się przekonanie nie tylko Amerykanów — mocno wspierane przez różnych ideologów — że jest to kraj najbogatszy, najpotężniejszy i najdoskonalszy nie tylko politycznie, ale i moralnie. Ale właśnie wtedy, tj. pod koniec XIX w. i na przełomie XIX/XX w., Ameryka, zdaniem Hodgsona, stawała się coraz mniej wyjątkowa i coraz bardziej podobna do państw Europy. Zachodziły w niej podobne procesy, może jedynie szybciej i intensywniej, a industrializacja i mechanizacja i rozmaite nowin-

² Krytycy wyjątkowości USA wiele na ten temat pisali, podważając właśnie misyjny, idealistyczny aspekt, który był w gruncie rzeczy mitem, manipulacją i hipokryzją. Warto przywołać prace m.in. Patricii Limerick oraz badaczy pochodzenia meksykańskiego.

ki techniczne zapowiadały późniejszą globalizację. Polemizowałabym z tą opinią, właśnie wtedy bowiem Stany Zjednoczone stały się przemysłową potęgą, a przyspieszona industrializacja stwarzała szanse milionom emigrantów, którzy zrealizują tam swoje życiowe marzenia. I dla nich, ich dzieci i rodzin (także w „starych krajach”) Ameryka na zawsze będzie wyjątkowa. Nie zaryzykowałabym też analogii pomiędzy amerykańską kolonizacją Zachodu a kolonializmem państw europejskich (s. 63–65).

Dalsza ekspansywna polityka zagraniczna USA poza granice kontynentu (wojna z Hiszpanią o Kubę, posiadłości zamorskie etc.) znajdowała również żarliwych propagatorów podnoszących jej „szlachetne i misyjne” zadania. Jak wielki był rozbrat pomiędzy pięknymi założeniami i deklaracjami a praktyką, świadczą rozliczne interwencje USA, zwłaszcza w republikach latynoamerykańskich. Jakby nie brzmiało to ironicznie i paradoksalnie, to administracja „idealisty” Woodrowa Wilsona pobiła rekord, jeśli chodzi o liczbę interwencji zbrojnych w krajach regionu.

Wizja idealistycznej i altruistycznej Ameryki, śpieszącej na pomoc Europie, ogarniętej wojną, chaosem i rewolucjami, była może i bliska wielu Amerykanom, ale dosyć daleka od rzeczywistości. Wilson, mimo iż uchodził za idealistę walczącego z militarystyką, bezprawiem i niesprawiedliwościami w świecie, był w gruncie rzeczy pragmatykiem, znakomicie zabezpieczającym amerykańskie interesy. To o nim francuski premier Georges Clemenceau miał upowszechnić opinię, że choć amerykański prezydent przemawiał jak Chrystus, to działał jak premier brytyjski Lloyd George. Hasła i slogany, którymi się posługiwał Wilson, tłumacząc rodakom powody wejścia USA do wojny, musiały do nich przemawiać i ich przekonać, stąd ta retoryka („walka o demokrację i ideały”, „wojna, by nie było już nigdy wojen”, „sprawiedliwy ład międzynarodowy”). Podobną motywacją i równie wzniosłymi, idealistycznymi powodami błyskotliwie posługiwał się potem w trakcie II wojny światowej inny prezydent demokraci — Franklin D. Roosevelt, (m.in. „cztery wolności”, s. 21–24).

Od I wojny światowej i polityki wilsonizmu Ameryka przejmie rolę moralnego przywódcy w świecie, którego zadaniem stanie się propagowanie wolności, demokracji i rządów prawa w militarystycznym, autokratycznym, zepsutym świecie. Dawało to jej szczególną rolę do odegrania i pozycję moralnego arbitra w polityce międzynarodowej. „Empire of liberty” służyło nie tylko za wzór do naśladowania. Ambicją bowiem prezydenta Wilsona było również „wyznaczenie granic państwowych” i podejmowanie politycznych decyzji o losie innych narodów” (s. 166–167).

Krytycznie wypowiada się Autor o roli mediów w kreowaniu przeszłości wojennej Ameryki, zwłaszcza o „zawłaszczaniu” przez film hollywoodzki zwycięstwa USA w II wojnie światowej, jak też „amerykanizację Holocaustu”. I to jest ta wyjątkowość Ameryki, w sensie krytycznym, dowolnie bowiem — jak podkreśla — wybiera się bądź pomija, a następnie interpretuje fakty użyteczne dla lansowanej tezy. Z niektórych opracowań, jak pisze oburzony Hodgson, można odnieść wrażenie, że Amerykanie przystąpili do II wojny światowej nie po ataku Japończyków na Pearl Harbor, ale by ratować Żydów! (s. 118–120). Autor wspomina też o maccartyzmie — „najczarniejszym rozdziale” historii USA, kiedy wolność i swobody obywatelskie znalazły się w poważnym zagrożeniu i były często łamane (s. 58, 90 i in.). Bardzo groźne i niekorzystne dla samych Amerykanów, jego zdaniem, było lansowanie specyficznego patriotyzmu w latach 50., właśnie na bazie wyjątkowości (czytaj: doskonałości) amerykańskich ideałów, systemu wartości i przeszłości w konfrontacji z ZSRR i jego polityką. Znakomitym tego przykładem były podręczniki szkolne, propagujące amerykańizm i wyjątkowość przeszłości USA, jak i celów ich misji politycznej w świecie. Nawet ówczesna 3-tomowa historia Stanów Zjednoczonych autorstwa znakomitego badacza, Daniela J.

Boorstina, nie uniknęła tych interpretacji, obciążonych idealistyczną wizją przeszłości, kontekstem międzynarodowym i myśleniem życzeniowym Amerykanów (s. 94–98). Do tzw. czarnych stron amerykańskiej wyjątkowości Autor chętnie nawiązuje i potem, przywołując zwłaszcza praktykowaną tam w wielu stanach karę śmierci. Stawia to Stany Zjednoczone w bardzo kłopotliwym towarzystwie, obok Chin, Arabii Saudyjskiej, Pakistanu, Iraku czy Iranu (s. 131).

W bipolarnym świecie po 1945 r. Amerykanom, i nie tylko im, nawet łatwiej było wierzyć w swoją wyjątkowość, przewagę techniczną czy moralne przywództwo. Podobne przeświadczenie ugruntowało się na dobre w zrujnowanych i okrutnie doświadczonych wojną wielu państwach europejskich, zwłaszcza tych, w których już wcześniej funkcjonował mit amerykański. Lata powojennej prosperity (w literaturze fachowej zadomowiło się określenie „glorious thirty years”) przyniosły polepszenie standardu życia i ogólny dobrobyt Amerykanów. Sukcesy amerykańskiej gospodarki i przeświadczenie milionów ludzi, że tyko w USA można osiągnąć taki sukces, powodowały rozprzestrzenianie się „American dream” w całym świecie. Hasło to, zawierając dużą dawkę pozytywnych emocji, było niezwykle pojemne i stwarzało ogromne możliwości interpretacyjne. Mieściło się bowiem w nim wszystko, co najlepsze, wyjątkowe i kojarzone z Ameryką. Odległa zamorska republika stawała się obiektem marzeń milionów ludzi na całym globie ziemskim. To ugruntowywało pozycję międzynarodową USA, a rywalizacja z ZSRR, wyścig zbrojeń i walka o prymat w świecie wspierane były ideologicznym przesłaniem o unikalności, potędze i przewadze cywilizacyjnej Ameryki (s. 91–92, 158–160).

Po zakończeniu zimnej wojny i upadku Związku Radzieckiego przed Stanami Zjednoczonymi, jako jedynym, a więc „samotnym” supermocarstwem pojawiła się możliwość prawdziwej ekspansji, wzmocnienia imperium i zbudowania globalnej *Pax Americana*. W jej tworzeniu amerykańskie elity polityczne, niezależnie od afiliacji partyjnej, umiejętnie wykorzystywały nie tylko ekonomiczną, polityczną czy kulturalną potęgę USA, ale przede wszystkim wojskową.

Upadek bloku wschodniego dla Amerykanów, i nie tylko, był potwierdzeniem właśnie amerykańskiej wyjątkowości. Z rywalizacji o supremację Stany Zjednoczone wyszły zwycięsko, pozostając jedynym supermocarstwem, co konsekwentnie nagłaśniano, zwłaszcza w mediach. Dawało to dobre samopoczucie nie tylko amerykańskim elitom, ale i przeciętnym Amerykanom. Ugruntowało też wyobrażenie o powszechnej sympatii dla ich kraju i obywateli, którą — w ich przekonaniu — zaskarbili również dzięki promowaniu ideałów i wzorców amerykańskich oraz pomocy udzielanej przez nich w różnych zakątkach globu ziemskiego. Amerykanie wolą używać określenia „pomoc”, „akcja humanitarna”, „misja”, a nie polityka zagraniczna, którą z zasady mniej się interesują. Ponadto, jak podkreśla Hodgson, niekoniecznie chcą oni wiedzieć, jak wiele płacą za supremację wojskową i rozsiane po całym świecie bazy wojskowe (s. 14–15, 97, 113 i in.). To niezachwiane przeświadczenie Amerykanów o potędze i wyjątkowości zostało okrutnie i dramatycznie przerwane 11 IX 2001 r. Paradoksalnie bowiem potężna jak nigdy wcześniej Ameryka została zaatakowana, i to na własnym terytorium, a jej obywatele poczuli się zagrożeni i niepewni co do swego bezpieczeństwa w przyszłości. Pierwszą reakcją zszokowanych Amerykanów było często zadawane wówczas pytanie „Dlaczego oni wszyscy tak nas nienawidzą?”³.

Autor nie oszczędza prezydenta George’a W. Busha i jego polityki, zwłaszcza w kwestiach bezpieczeństwa i ogłoszonej przez niego „wojny z terroryzmem”. Podejmując inter-

³ Z. Sardar, M. W. Davies, *Why do People Hate America?*, London 2004.

wencję w Afganistanie, a potem wojnę przeciwko Irakowi, Bush i jego administracja wykorzystali przeświadczenie Amerykanów o śmiertelnym zagrożeniu ich bezpieczeństwa. W ten sposób — zgodnie z planami „jastrzębi” — konsekwentnie budowano „garnizonową mentalność” rodaków, podsycając w nich rozmaite obawy i swego rodzaju obsesję w kwestii czyhających na nich i Amerykę zagrożeń. Kraj powszechnie znany jako „Imperium nadziei” stawał się, jak to celnie określił jeden z politologów, „Imperium strachu”. Skutecznym na to remedium mogła być jedynie... rozbudowana potęga militarna USA⁴. Mimo że interwencje wojskowe większość Amerykanów traktuje jako ostateczną możliwość w poczynaniach USA, strategzy Busha wiele zrobili, by ich przekonać, że jest to jedyne wyjście i skuteczny sposób walki z terroryzmem i rozwiązywania nabrzmiałych międzynarodowych problemów. Jesienią 2001 r., w obliczu panującej hysterii i psychozy, Amerykanie zaakceptowali w pełni politykę republikańską.

Imperialne zakusy administracji republikańskiej, która wciągnęła USA w niekończącą się wojnę i ogromne wydatki z nią związane, budziły coraz częściej uzasadnioną krytykę. Ironią losu było to, że Amerykanie, niosąc wolność i demokrację w Iraku, w tym samym czasie wolności coraz mniej mieli we własnym kraju (podśluchy, inwigilacja, kontrola korespondencji, dostęp do danych lekarskich i kont bankowych, obostrzenie cenzury etc.). Główną odpowiedzialnością za taki stan rzeczy obciąża Hodgson (a nie jest w tym bynajmniej odosobniony) Pentagon i „jastrzębi”, a w szczególności sekretarza obrony Donalda Rumsfelda. Nadużycia w więzieniach w Abu Ghraib i Guantánamo (za jego wiedzą i zgodą, a może i samego prezydenta), a także nieprzestrzeganie konwencji międzynarodowych pozostaną na zawsze czarną plamą na wizerunku Ameryki (s. 124–127, 154). Znani intelektualiści i zadeklarowani opoeni polityki Busha, a z czasem też coraz liczniej rodacy, zwłaszcza — tak jak w przypadku wojny wietnamskiej i afery Watergate — dziennikarze, stawali się coraz bardziej krytyczni wobec „awantury irackiej”, doprowadzając do poważnej publicznej debaty na ten temat. Dostrzegali w niej niebezpieczne konsekwencje dla przyszłości kraju i bezpieczeństwa samych Stanów Zjednoczonych, jak również świata⁵.

Autorytet moralny Ameryki w świecie ucierpiał jeszcze bardziej z powodu ujawnionych z czasem faktów o okolicznościach i powodach inwazji na Irak oraz sensacyjnych informacji medialnych o stosowaniu tortur w więzieniach dla podejrzanych o terroryzm w Abu Ghraib i bazie wojskowej w Guantánamo na Kubie. Hipokryzja amerykańskich czynników rządowych, manipulacje informacjami, zwłaszcza w mediach, i relatywizm w traktowaniu prawa międzynarodowego również szkodzi Ameryce.

W ostatnich latach rośnie grupa Amerykanów niezadowolonych z polityki zagranicznej swego kraju. Podnoszone są zwłaszcza jej negatywne następstwa i zaangażowania w wojny, które antagonizują USA z innymi krajami i osłabiają ich pozycję w świecie. Politolodzy

⁴ Warto przywołać interesującą i swego czasu budzącą żywe zainteresowanie szerokiej opinii publicznej pracę niedoszłego prezydenta, konsekwentnego oponenta George’a W. Busha — Ala Gore’a (*The Assault on Reason*, London 2007). Podjął w niej kompleksową krytykę rządów i polityki Busha.

⁵ B. R. Barber, *Fear’s Empire: War, Terrorism, and Democracy*, New York 2003. W kilka lat potem ukazało się polskie tłumaczenie pracy (*Imperium strachu. Wojna, terroryzm i demokracja*, Warszawa 2005); N. Chomsky, *Hegemony or Survival*, New York 2004 (polska edycja — *Hegemonia albo przetrwanie: amerykańskie dążenie do globalnej dominacji*, Warszawa 2005). Warto też zwrócić uwagę na pracę zbiorową z udziałem krytycznych wobec polityki Busha intelektualistów, pod redakcją Toma Engelhardta, *Mission Unaccomplished: Tom Dispatch Interviews with American Iconoclasts and Dissenters*, New York 2006; także pracę pod redakcją Davida Skidmore’a, *Paradoxes of Power: U.S. Foreign Policy in a Changing World*, Boulder 2007.

coraz częściej piszą krytycznie o polityce unilateralizmu i amerykańskiej chęci dominacji w świecie, co doprowadziło administrację George'a W. Busha do ignorowania ONZ, nieprzestrzegania konwencji genewskich i pogwałcenia przez USA prawa międzynarodowego. W następstwie poważnie osłabiło pozycję Ameryki wśród sojuszników, zmieniło jej wizerunek, a także spowodowało falę krytycyzmu, niechęci, a nawet nienawiści i pogardy okazywanej Ameryce i Amerykanom w różnych częściach globu ziemskiego⁶.

Amerykańska wyjątkowość, co również podkreśla Hodgson, coraz częściej postrzegana jest w polityce międzynarodowej w kontekście negatywnym, a zatem chęci dominacji lub rozszerzenia wpływów USA czy też podporządkowania innych państw, także w wyniku interwencji militarnych. Amerykanie coraz częściej widzą hipokryzję swoich rządów i kolejnych ekip w Białym Domu, tak chętnie posługujących się wzniosłą retoryką przy realizacji twardego kursu politycznego.

Hodgson podziela opinie badaczy, którzy wskazują na mieszaninę arogancji i narcyizmu elit politycznych amerykańskich i wielu Amerykanów przekonanych o wyższości swego systemu politycznego, ideałów i wartości. To z kolei rodzi chęć i potrzebę narzucania ich światu wszelkimi metodami, nie wyłączając także siły. A może — choć jest to pytanie retoryczne — chodzi o łatwy i nieograniczony dostęp do źródeł surowców, choć taki powód nie jest ani piękny ani wzniosły, by pozyskać aprobatę rodaków dla interwencji zbrojnych USA w niebezpiecznym regionie świata? Stany Zjednoczone od lat 70. przestały być samowystarczalne, jeśli chodzi o surowce energetyczne, a zatem już od wtedy dostęp do pól naftowych w Arabii Saudyjskiej, Zatoce Perskiej, Iranie i Iraku stał się sprawą bardzo ważną, zyskującą na znaczeniu i aktualności (s. 25, 115 i in.). Nieograniczony zatem dostęp USA do źródeł ropy naftowej był sprawą priorytetową i niepodlegającą dyskusji, jak argumentuje Autor, dla kolejnych rządów, zarówno demokratycznych, jak i republikańskich. „Jastrzębie wojenne” (zwłaszcza Cheney, Rumsfeld), liczni neokonserwatyści i eksperci ds. bezpieczeństwa (m.in. Robert Kagan, William Cristol) wprost nawoływali do rozprawienia się z Saddamem Husajnem, choć publicznie podkreślano głównie chęć niesienia wzorców demokratycznych i misji cywilizacyjnej na Bliskim Wschodzie (s. 151–152, 168).

Warto przywołać głośną wypowiedź Rumsfelda z października 2001 r., w której wskazywał na potrzebę nieograniczonego dostępu USA do ropy naftowej, choć publicznie podkreślał walkę z Al-Kaidą i terroryzmem międzynarodowym. W tamtym czasie, po traumie 11 września, ogłoszona przez prezydenta „wojna z terroryzmem” miała powszechne poparcie Amerykanów. Podejmując interwencję w Afganistanie i przygotowując wojnę z Irakiem, szukano — na użytek opinii publicznej — wzniosłych powodów. Ale w swoim gronie polityk

⁶ Warto nadmienić, że w ostatnich latach ukazały się liczne publikacje na ten temat, m.in. *Anti-Americanism*, eds. A. Ross, K. Ross, New York 2004; *With Us or Against Us. Studies in Global Anti-Americanism*, eds. T. Judt, D. Lacorne, New York 2005; *The Rise of Anti-Americanism*, eds. B. O'Connor, M. Griffiths, London–New York 2006; *Anti-Americanism in World Politics*, eds. P. J. Katzenstein, R. O. Keohane, New York 2006; *The Political Consequences of Anti-Americanism*, eds. R. Higgott, I. Malbasics, Milton Park, 2008; O. R. Holsti, *To See Ourselves as Others See Us: How Public Abroad View the United States after 9/11*, Ann Arbor, c. 2008; G. Chiozza, *Anti-Americanism and the American World Order*, Baltimore 2009; P. Hollander, *Thy Only Superpower: Reflections on Strength, Weakness, and Anti-Americanism*, Lanham 2009; C. M. Graham, *Coping with Anti-Americanism: A Guide to Getting the Most Out of Studying Abroad*, Washington 2011; M. El-Bendary, *The „Ugly” American in the Arab Mind: Why Do Arab Resent America?*, Washington 2012.

mówił wówczas tak: „Mamy dwie możliwości. Albo zmienimy swój styl życia, albo musimy zmienić sposób, w jaki oni żyją. Wybieramy drugą możliwość”⁷.

Wielu autorów wręcz twierdzi, że George W. Bush najprawdopodobniej nawet wierzył w to, co głosił. Widział on w dyktatorze Saddamie Husajnie diaboliczne zło, z którym podjął walkę, rozpoczynając swoistą krucjatę. I może nawet wierzył, że amerykańscy żołnierze zaprowadzą tam demokrację. Zwłaszcza że bliska współpracownica i zaufana prezydenta Condoleezza Rice, podobnie jak politycy z bliskiego mu kręgu, uporczywie głosiła, że powinnocią USA jest „budowa lepszego świata i rozprzestrzenianie wolności oraz demokracji” (s. 171 i in.). Być może było to echo naiwnej wiary w wyjątkowość Ameryki, jej misję i posłannictwo.

Warto dodać, że Amerykanom początkowo towarzyszyło powszechne przekonanie, że dobre wyposażenie żołnierzy i przewaga technologiczna doprowadzą w Iraku do szybkiego zakończenia działań wojennych. Ale były to błędne kalkulacje, tym bardziej że rozpoczęta wojna podjęta została przy totalnym zmanipulowaniu opinii publicznej i podaniu nieprawdziwych danych w sprawie broni masowego rażenia. Udało się wprawdzie obalić reżim Husajna, ale nie zrealizowano podstawowych celów interwencji. Co więcej, ta wojna naraziła USA na wojnę prognozowaną na dziesięciolecia, w gruncie rzeczy niekończącą się (w Pentagonie używano określenia „wojna co najmniej jednego pokolenia”), a Amerykanów za granicą również na większe niż przedtem niebezpieczeństwa. Noblista Joseph E. Stiglitz dokonał szokujących nie tylko Amerykanów, ale i świat wyliczeń kosztów prowadzenia tej bezsensownej wojny⁸.

Trudno polemizować z twierdzeniem wielu politologów, że w ostatnich dekadach rząd amerykański został zdominowany przez „ideologię bezpieczeństwa państwa”. Wyrasta ona z przekonania jej twórców, że zadaniem, a nawet misją Stanów Zjednoczonych jest obrona demokracji i praw człowieka oraz ich propagowanie i zaszczepianie w świecie. George W. Bush i jego administracja, jako sukcesorzy *Manifest Destiny*, kontynuowali misję USA, by — jak zapewniał prezydent — „uczynić świat bezpiecznym dla demokracji”. W wyborach prezydenckich 2004 r. Amerykanie obdarzyli Busha swoim zaufaniem, powierzając mu kierowanie polityką USA na kolejne cztery lata.

Cztery lata później, w 2008 r., wybór Baracka Obamy, zapowiadającego zmiany w kwestii „wojny z terroryzmem”, pokazywał ewolucję nastrojów opinii publicznej. Miliony Amerykanów już wówczas co najmniej powątpiewały w zasadność i skuteczność „globalnej wojny z terroryzmem”, podjętej przez Busha. Większość z nich przecząco odpowiada do dziś na pytanie, czy wojna z Irakiem była konieczna i uzasadniona, a Stany Zjednoczone i świat stały się bardziej bezpieczne. Wciągnęły one USA w bezsensowną i kosztowną „awanturę wojenną”. Nieprzypadkowo wojnę z Irakiem porównuje się nieraz do wojny wietnamskiej, która była wielką traumą dla Amerykanów i pozostawiła bolesny i trwały ślad w ich psychice.

Prezydentura Baracka Obamy, mimo zapowiedzi i rozbudzonych oczekiwań, nie rozwiązała (bo i nie mogła) tych nabrzmiałych problemów w polityce zagranicznej USA, odziedziczonych po poprzednikach w Białym Domu. W gruncie rzeczy poważnie ucierpiał prestiż mocarstwa, tak chętnie sięgającego do wzniosłej retoryki i moralistyki przy realizacji własnych interesów. Prowadzona od lat niezwykle kosztowna i niekończąca się wojna, której

⁷ Cyt. za: A. J. Bacevich, *The Limits of Power. The End of American Exceptionalism*, New York 2008, s. 58.

⁸ J. E. Stiglitz, L. J. Bilmes, *The Three Trillion Dollar War: The True Cost of Iraq Conflict*, New York 2008.

USA — o czym już wszyscy wiedzą — nie są w stanie wygrać, nie może być uznana za „wojnę sprawiedliwą” ani też misję szerzącą demokrację w regionie.

Na koniec pragnę podnieść kilka kwestii, wymagających komentarza. Trudno zgodzić się z tak lapidarną uwagą Autora o powodach wojny secesyjnej, że jej wyjątkowość polegała nie na walce o terytorium, dynastyczne ambicje czy narodową dumę, ale o zasady (s. 69). Chyba sam Autor uległ „mitologizacji wyjątkowości” tych wyidealizowanych powodów konfliktu, a więc chęci zniesienia niewolnictwa, czy też niezgody, że w części stanów będzie nadal praktykowane, a w innych nie. Zresztą w literaturze przedmiotu zostało to w pełni wyjaśnione. Daleko bowiem ważniejszym powodem niż zniesienie niewolnictwa było dla Abrahama Lincolna, jego rządu i Amerykanów z Północy zachowanie unii. Znane są wypowiedzi prezydenta jednoznacznie określające motywy tego konfliktu, który przerodził się w kilkuletnią najbardziej krwawą amerykańską wojnę.

Osobiście brakuje mi w tej pracy trochę odniesień do Europy Środkowo-Wschodniej. W krajach regionu bynajmniej nie od II wojny światowej, lecz znacznie wcześniej i głębiej zakorzenił się mit amerykański, który znakomicie ugruntowywał właśnie przeświadczenie o amerykańskiej wyjątkowości (ale to osobny temat, któremu swego czasu poświęciłam sporo uwagi).

Pragnę zwrócić uwagę na pewną kwestię informacyjno-interpretacyjną, której ulega wielu anglojęzycznych autorów i czego także nie uniknął Hodgson. Wzmiankując upadek komunizmu w Europie Wschodniej, nie wspomniał o Polsce, lecz stwierdził, że proces ten zaczął się od... runięcia muru berlińskiego w 1989 r. i stopniowej dezintegracji Związku Radzieckiego (s. 26).

Recenzowana książka podnosi ważną i dyskusyjną tematykę, budzącą wciąż żywe zainteresowanie wielu badaczy, jak i szerokich kręgów Amerykanów. Nie ze wszystkimi opiniami i interpretacjami Autora można się zgodzić, niemniej jego optyka patrzenia na Stany Zjednoczone może być przydatna do lepszego zrozumienia polityki amerykańskiej, zwłaszcza współczesnej. Mimo nieraz dyskusyjnych, kontrowersyjnych, a nawet prowokacyjnych tez i opinii Hodgsona, jest to praca wartościowa, której lektura okazała się zajęciem pożytecznym. Książka stanowi ważny głos w dyskusji na temat nie tylko przeszłości Stanów Zjednoczonych i ich polityki, ale także nowych wyzwań dla nich samych i świata. Rozważania dotyczące „mitu amerykańskiej wyjątkowości” (niektórzy wolą to uznać raczej za „koniec” tejże wyjątkowości) są lekturą ciekawą i inspirującą do dalszych badań nad amerykańską przeszłością oraz polityką zagraniczną i rolą USA w świecie.